

OKAZYWANIE CZCI DZIECIOM

Jan Paweł II w swym *Liście do Rodzin*, opublikowanym z okazji Roku Rodziny 1994, pisał: „Jeżeli czwarte przykazanie wymaga tej czci dla ojców i matek, wymaga jej także ze względu na dobro rodziny — to równocześnie, ze względu na to samo dobro, stawia też wymagania rodzicom. Rodzice — zdaje się im przypominać Boże przykazanie — postępujcie tak, aby *zasłużyć na cześć* (i miłość) ze strony Waszych dzieci! Nie pozostawiajcie Bożego wymagania czci dla Was w «moralnej próżni»! Chodzi więc ostatecznie o cześć, która jest wzajemna. Przykazanie «czcij ojca i matkę» pośrednio mówi rodzicom: Czczycie Wasze dzieci, synów i córki”¹.

Przykuł baczną uwagę i wzbudził namiętą polemikę czyn chłopca ze Stanów Zjednoczonych, który zwrócił się do trybunału sądowego, aby ten unieważnił rodzicielstwo krwi, aby przyznał mu inne rodzicielstwo: oparte na uczuciu i wychowawczej trosce tych, którzy go przyjęli i opiekowali się nim z miłością. W dzisiejszych czasach coraz częściej można spotkać się z podobnym zjawiskiem: dorastający młody człowiek odrzuca własne pochodzenie, zdecydowany rozerwać wszelką więź z osobą, która dała mu życie. Niejednokrotnie dzieje się tak, ponieważ odkrywa on, że poza biologicznym istnieniem ofiarowano mu właściwie bardzo mało. Jakże gorzko, a zarazem szyderczo brzmi w tym kontekście pytanie Joyce: „Kimże jest ojciec jakiegoś dziecka, aby jakieś dziecko musiało go kochać, i odwrotnie?”

Nietrudno będzie wydobyć z różnorodnych kultur słowa nawołujące do okazywania czci rodzicom, szacunku — ludziom starym, uznania — mędrcom, a wdzięczności — dobroczyńcom. Jednakże radykalność, z jaką stawia się dziś niektóre problemy brutalnie wdzierające się do życia wszystkich, nie ma względu na zagadnienia, które — na pierwszy rzut oka — zdają się umykać inkwizycjom uważanym za niegodne szacunku.

Pojawia się na tym tle pytanie: dlaczego ja, który nie decydowałem o swym przyjściu na świat, muszę kochać tych, którzy

* Mario Cattaneo jest ekspertem w sprawach rodzinnych i pedagogicznych. Jest dyrektorem czasopisma *La Famiglia*.

¹ Jan Paweł II, *List do Rodzin*, nr 15. Tekst polski: *L'Osservatore Romano* 15 (1994) 3, s. 20.

dali mi życie? Czy ten, kto mnie wybrał, może domagać się z zasady wzajemności za dar, który — wręcz przeciwnie — mógłbym z chęcią odrzucić?

Czy takie pytanie może powstać tylko poza perspektywą ukazywaną i ożywianą przez wiarę? Oto naraża się tu na odrzucenie kwestię, która — częściej niż się to sobie wyobraża — budzi wrażliwość i głos sumienia wielu osób zmuszonych do gorzkiej i trudnej rezygnacji.

Słowa cytowanego wyżej *Listu do Rodzin* podają pewną odpowiedź, czy też mówiąc lepiej: wskazują na pewien wybór i wpływającą zeń postawę.

Jeśli dzieci miałyby możliwość wybrać sobie istnienie, lecz nie matkę i ojca, to powinni znaleźć się w takiej sytuacji, w której dokonają także „wyboru rodziców”, w której poczują się ich dziećmi, uznając ich rodzicielstwo poprzez doświadczenie miłości. To przejrzysta miłość macierzyńska i ojcowska, gesty wyrażające uczucie, ofiarna troska i radość płynąca z bezinteresowności przędą osnowę życia rodzinnego, napełniają radością życia, ujawniając piękno i dobro istnienia.

Wszystko to staje się przekonującym zaproszeniem do odkrycia siebie — nie jako przedmiotu uwagi nacechowanej interesownością, lecz jako osoby zdążającej do pełni własnej osobowości, doznającej pomocy w odzyskaniu własnej wolności; zaproszeniem do spotkania się z prawdą.

Tak więc w stosunku rodziców do dzieci nie może mieć miejsca jakakolwiek forma przywłaszczenia: dzieci nie są dla nich urzęczywstwieniem dawnych snów, nie są wypełnieniem snutych z czułością planów czy też „arcydziełem” namiętnych projektów na przyszłość. Tym bardziej nie są też klejnotami na pokaz. Nie są zatem swego rodzaju personelem służącym otoczeniu, lecz przeciwnie: uprzywilejowanymi i godnymi szacunku podmiotami prawa, które rodzice powinni uznać z troskliwą miłością: prawa do uzyskania bezinteresownej pomocy w osiągnięciu dojrzałej osobowości.

W języku potocznym (pomijając różne zwroty urzędowe), w codziennych rozmowach pojawia się często wyrażenie: „mój — nasz”, używane w odniesieniu do dziecka (lub dzieci), którego jesteśmy rodzicami. Można by rzec, iż jest to jeden z sposobów wyrażania bliskości przeżywanej z miłością, świadomie uwewnętrznionej troski i bezgranicznego oddania. Wszystko to jest prawdą. Nierzadko jednak taki sposób mówienia kryje w sobie przekonanie o „posiadaniu” szczególnych uprawnień względem dzieci, o możliwości dysponowania ich życiem obecnym i przyszłym,

wtłaczając je (jeśli jest to stosowne i konieczne) w określone granice, w ustalone uprzednio obręby, i nie pozostawiając miejsca na wątpliwości czy pytania, oraz okazując pewność, że się wszystko wie i umie przewidzieć.

Czcic własne dzieci oznacza zatem, posługując się sugestywnym wyrażeniem Romano Guardiniego, „cofnąć ręce”, odpierając pokusę posiadania, skłaniającą wymownie do instrumentalizacji.

W owej wspólnocie życia i miłości, jaką jest rodzina, o ile dzieci stanowią program na przyszłość, rodzice uosabiają dziedzictwo, racje przeszłości, która — pozostając za nimi i w nich — umacnia ich więź z Bogiem, ich plany i miłość.

Nie jest łatwo sprowadzić program na przyszłość do dziedzictwa. W rzeczy samej wierność temu dziedzictwu może kosztować naruszenie wolności i twórczości samego programu, tak że pewność autentyczności, ofiarowywana przez jedną z nich (wolność lub twórczość), może gwarantować oryginalność drugiej. Lecz jeszcze raz trzeba podkreślić, iż cześć okazywana dzieciom jest czcią (wyrażającą się często w dotkliwym cierpieniu z miłości) oddawaną „ich własnemu dobru”. Trzeba przy tym przyznać, że niezadko kończy się ona skierowaniem (choć może wcale niezamierzonym) ku „naszemu dobru”. W związku z tym posłuszeństwo, do którego się odwołujemy, nie jest żądaniem stawianym w imię celu, który dotyczy tylko dobra dzieci, lecz sposobem wprowadzenia w życie sugestii starożytnego powiedzenia: *stat pro ratione voluntas*.

W kontekście czci okazywanej swym dzieciom nie sposób pominąć innego jeszcze zagadnienia, jakim jest prawo do wychowania. Nikt nie może zakwestionować tego, że na rodzicach spoczywa obowiązek wychowania i że w związku z tym należy odrzucić i potępić wszelki zewnętrzny akt mający na celu wypaczenie tego prawa, jego ograniczenie lub zniesienie.

Lecz na czym opiera się to prawo? Gdzie szukać jego korzeni? Rodzi się ono z obowiązku wychowania, który dla rodziców oznacza także obowiązek kochania. Właśnie tego obowiązku towarzyszenia własnym dzieciom na drodze do pełni życia, obowiązku miłości i służby, należy bronić i — jeśli to konieczne — domagać się jego realizacji od społeczeństwa i państwa. Prawo do wychowywania dziecka przywołuje rodzicielski obowiązek wychowania, rodzice zaś ze swej strony powinni mieć możliwość oraz warunki wypełnienia tego właśnie obowiązku wychowania, czyli kochania tych, którzy zostali zrodzeni z miłości i z niej wciąż na nowo się odradzają.

Chodzi tutaj o cześć, która nie urzeczywistnia się w przy-

ciąganiu do siebie osób, aby je zazdrośnie i pożądliwie osłaniać przed kimś lub przed czymś. Wręcz przeciwnie, towarzyszy się dzieciom ufnie na drodze do niektórych fundamentalnych zdolności: umiejętności widzenia, rozumienia, osądzania, decydowania. Mówiąc ściślej: chodzi tu o otwarcie się dla pozyskania sensu życia.

Cześć ta wyrasta z rodzinnego doświadczenia, dojrzewa w życiowych trudach, a jej rytm wybija szczere, pełne miłości zaproszenie: „pamiętaj”. Skanduje ją biblijne echo, które w codziennym życiu przerywa wszelkie milczenie, nadaje autentyczność słowom oraz znaczenie gestom, ukazuje — nie bacząc na żadną klęskę — znak nadziei.

Niezbędnym, chociaż nie jedynym środkiem prowadzącym do okazania czci dzieciom jest gotowość do słuchania, cierpliwość w wewnętrznym akceptowaniu ich życiowej drogi, ich myśli i wyborów. Chodzi tu oczywiście o słuchanie dialogujące, a nie o bierne poddanie; o słuchanie przez rodziców, którzy nie uchylają się od wypełnienia obowiązku słowa i gestu; o słuchanie kogoś, kto wie, że nie jest posiadaczem prawdy, i dlatego może przykładać do siebie jej miarę, nastawiając uszy ku temu, kto ze swej strony stara się ku niej podążać. Choć każdy idzie odmienną drogą, choć czasem drogi te różnią się radykalnie, wszystkich wędrowców jednoczy to samo pragnienie i świadomość tej samej mety. Gotowość do słuchania i zaufanie okazane dziecku ośmielają je w zadawaniu pytań, ożywiają pragnienie odkrywania i dążenie do spotkania. Wzrastanie łączy rodziców i dzieci, ubogacając ich i dodając odwagi, aby tym łatwiej — jak na platońskiej tratwie — „stawić czoło niebezpieczeństwu w czasie przepływania morza życia”

Jak to się dzieje w życiu każdego człowieka, a zwłaszcza w życiu rodzinnym, relacja nie pozostawia osób obojętnymi. Zdarza się tak, że dzieci, idąc w swym życiu niejako pod wiatr, ubogacają własnych rodziców. Dzieje tych, którzy zostali zrodzeni, wraz z trudem wzrastania, przegrane zakłady, złudne sny, radość płynąca z dokonanych odkryć — wszystko to staje się okazją do odbudowy własnej osobowości. A zatem także postaci rodziców. Jest to konieczna droga do przejścia, nieunikniona próba rozwoju, nowości.

Rodzice nie mogą zachowywać się tak, jak niezręczni i niedoświadczeni naśladowcy dzieci, tak, jakby chcieli odzyskać bezpowrotnie utracone już wymiary życia. Powinni dać się kochać przez własne dzieci. Miłość zaś jest zarazem wielkoduszną ofiarą

oraz krzyczącą nędzą. Czcic własne dzieci znaczy: żyć z nimi i dla nich we wzajemnej wymianie ubóstwa i bogactwa, pytań i odpowiedzi, w nieustannym doświadczeniu darmowości. Do czego bowiem zostałaby zredukowana rodzina, gdyby przestała pielęgnować darmowość stanowiącą horyzont ożywiający własną naturę oraz ciągłą zdolność do ofiary i akceptacji, do prośby i udzielania pomocy?

Tak więc darmowość staje się miejscem wzajemnej czci: jakież słowo bardziej znaczące i naglące może wypowiedzieć rodzina żyjąca w świecie, który — utraciłszy je — nie jest w stanie na nowo odkryć jego konieczności?

tłum. ks. Franciszek Mickiewicz SAC